

S. J. PARRIS

ZDRADA

W ELŻBIETAŃSKIEJ ANGLII BYŁA TYLKO JEDNA ZBRODNIA
GORSZA OD MORDERSTWA...

*Z pokładu Elizabeth Bonaventure,
okrętu flagowego Jej Królewskiej Mości,
Plymouth, niedziela 22 sierpnia 1585 roku*

Do Wielce Szanownego sir Francisa Walsinghama

Śląc wpierw gorące pozdrowienia, Czcigodny Sekretarzu, z ciężkim sercem sięgam po pióro, by skreślić niniejsze słowa. Bez wątpienia spodziewałeś się, Panie, pomyślnych wiadomości o wyjściu floty w morze. Z żalem powiadamiam, że obecnie stoimy na kotwicy w zatoce Plymouth wskutek opóźnienia spowodowanego przez kłopoty z zaopatrzeniem i wciąż czekamy na przybycie galeonu Leicester (z Pańskim zięciem na pokładzie), którego spodziewamy się lada dzień. Naturalnie, podczas przygotowań do wyjścia w morze takiej dużej floty drobne komplikacje są nieuniknione. Jednak ciąży mi na sercu znacznie poważniejsza sprawa, dlatego uznałem, iż muszę się nią podzielić z Tobą, Panie, choć proszę na razie nie wspominać o tych smutnych okolicznościach królowej, mam bowiem nadzieję szybko rozwiązać problem bez przyczyniania zmartwień Jej Królewskiej Mości.

Być może znasz, Panie, przynajmniej ze słyszenia, Roberta Dunne'a, szlachcica z Devon, czasami widywanego na dworze,

godnego oficera i towarzysza, z którym siedem lat temu odbyłem podróż dokoła świata (pozwolę sobie nadmienić, iż został należycie nagrodzony za swój udział w tym przedsięwzięciu). Otóż zaprosiłem Dunne'a do mojej załogi na obecną wyprawę do Hiszpanii i Nowego Świata, jakkolwiek wśród moich najbliższych doradców są tacy, którzy mnie do tego zniechęcali, zważywszy na osobiste kłopoty owego człowieka i to, co o nim mówiono, a czego nie ma powodu tutaj wyszczególniać. Jako że oceniam ludzi nie na podstawie pogłosek, ale czynów, postanowiłem dać Robertowi Dunne'owi szansę na odzyskanie honoru poprzez służbę ojczyźnie. Może powinienem postuchać rad, chociaż teraz to bez znaczenia.

Dunne od samego początku zachowywał się dziwnie; wydawał się zamknięty w sobie i załębiony, jakby się bał kogoś za plecami – zgoda nie ten sam człowiek, którego pamiętałem. Przepisałem to zdenerwowaniu przed długą podróżą; wszak nikomu nie przychodzi lekko zostawianie domu i rodziny, żeby ruszyć na koniec świata, a Dunne aż nazbyt dobrze poznał niebezpieczeństwa towarzyszące takiej ekspedycji. Wczorajszego wieczoru wybrał się na brzeg z kilkoma innymi dżentelmenami. Uznałem, że podczas pobytu w porcie mądrze jest pozwolić młodym ludziom na szukanie takich rozrywek, jakie Plymouth ma do zaoferowania żeglarzom – kiedy podniesiemy kotwicę, będą wiele czasu spędzać pod pokładem i podlegać surowej dyscyplinie – chociaż tym pod moją komendą i kolegom kapitanom przykazałem, iż mają się zachowywać godnie, by nie skompromitować floty.

Zeszłej nocy Dunne wrócił na pokład kompletnie pijany, co również było do niego wielce niepodobne. Bóg wie, ów człowiek miał wiele przywar, ale żywiłem przekonanie, że pijaństwo do nich nie należy, inaczej nie przyjąłbym go do służby na okręcie flagowym Jej Królewskiej Mości. Przybył w towarzystwie naszego kapelana, ojca Pettifera, który go znalazł błąkającego się po ulicach w stanie nietrzeźwości i uznał, że najlepiej będzie sprowadzić go na okręt – na jego miejscu nie podjąłbym

takiej decyzji, słyszałem bowiem, że mieli piekielne kłopoty, pomagając Dunne'owi wsiąść do szalupy, a następnie wspiąć się po sztormentrapie na pokład Elizabeth. Tam przyjęł ich mój brat, Thomas, który po wspólnej ze mną kolacji wracał na swoją jednostkę. Świadom, że jestem w mojej kwaterze, zajęty pracą nad mapami z młodym Gilbertem, i myśląc, że nie powinien zwracać mi głowy tą sprawą, pomógł kapelanowi zaprowadzić Dunne'a do jego kajuty, żeby wytrzeźwiał. Później Thomas powiedział, że Dunne zachowywał się jak szaleniec, atakując niewidzialnych wrogów i mówiąc do ludzi, których tam nie było, jakby spożył coś więcej niż wino. Wedle ojca Pettifera padł na koję już zupełnie zamroczony, więc go zostawili, żeby przespał ten brak umiarkowania i rano okazał skruchę.

O tym, co się wydarzyło pomiędzy tym czasem a rankiem, wie tylko Bóg i, z żalem dodam, ktoś jeszcze. Pogoda była paskudna, padał deszcz i wiał silny wiatr, toteż ludzie przebywali pod pokładem, wyjąwszy dwóch wachtowych. O brzasku do moich drzwi zapukał mój hiszpański nawigator, Jonas, wielce zaniepokojony. Chciał podać Robertowi Dunne'owi jakąś miksturę, która postawiłaby go na nogi po nocnych ekscesach, ale kajuta była zamknięta na klucz, a Dunne nie wstał, żeby otworzyć. Zrozumiałem obawy Jonasa, wszyscy bowiem widzieliśmy ludzi, którzy zadławili się własnymi wymiocinami, dlatego z nim poszedłem – mam zapasowe klucze do prywatnych kajut. Otworzyliśmy drzwi i wyznam, że nie byłem przygotowany na widok, jaki ukazał się naszym oczom.

Dunne był odwrócony plecami do nas, ale gdy okręt zakotył się na fali, powoli się okręcił i wtedy spostrzegłem... ale uprzędam fakty. Dunne wisiał na haku latarni z pętlą ciasno zaciśniętą na szyi. Jonas krzyknął i wylał nieco mikstury, którą trzymał w ręce. Szybko go uciszyłem, nie chcąc alarmować ludzi. Zamknąwszy drzwi, wspólnymi siłami odciąiliśmy Dunne'a i położyliśmy go na koi. Ciało już zesztyniało; zmarł

przed kilkoma godzinami. Zostałem z nim i posłałem Jonasa po mojego brata, który w tym czasie był na swoim okręcie.

W każdym okolicznościach własnoręczne odebranie sobie życia jest nie tylko tragedią, ale też ciężkim grzechem przeciwko Bogu i naturze. Wyznam, iż rozgorzał mi w piersi przelotny gniew na Dunne'a, że wybrał akurat tę chwilę, bo jak Ci dobrze wiadomo, Panie, marynarze są pobożni i przesądni jak żadni inni ludzie w świecie chrześcijańskim, więc uznaliby śmierć samobójczą za zły znak, za cień rzucony na naszą wyprawę. Nie wątpiłem, że niektórzy samowolnie zeszliby z okrętu na wieść o takim zdarzeniu na pokładzie, czyniąc to w przekonaniu, że Bóg odwrócił od nas swoje oblicze. Zaraz potem zganiłem się w duchu za to, że myślę przede wszystkim o wyprawie, kiedy jeden z nas został doprowadzony do skrajnej rozpacz.

Gdy czekałem na przybycie brata, miałem czas baczniej przyjrzeć się zwłokom i natychmiast pojąłem, co jest nie w porządku. Złość ustąpiła strachowi, ośwładnęło mną przerażenie. Nie potrzebowałem medyka, który by mi powiedział, że przyczyna śmierci była innego rodzaju, niż się z początku wydawało. Zaraz zrozumiesz, Panie, dlaczego proszę o dyskrecję. Muszę zachować dla siebie moje podejrzenia, dopóki nie dowiem się więcej, jeśli bowiem okręt ma być uważany za przeklęty z powodu samobójcy, to o ile gorsze jest przebywanie na jego pokładzie człowieka winnego jeszcze cięższego grzechu?

Z tego względu proszę o dochowanie tajemnicy. Zapewniam, będę informować o postępach śledztwa i proszę dawać wiarę tylko moim doniesieniom, gdyż plotka wypełźnie z każdego zakamarka, często wypaczona w jakiejś ważnej części, a ponieważ wiem, że masz tu swoje oczy i uszy, nie chciałbym, żebyś został, Panie, wprowadzony w błąd. Powiadomiłem załogę, że Dunne targnął się na życie, ale koroner musi przeprowadzić dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu. Rozumiesz, Panie, że w trosce o koszty poniesione przez

*licznych wielmożów, łącznie z Tobą, Czcigodny Sekretarzu,
i samą Najjaśniejszą Panią, nie mogę wyruszyć w drogę
z przekonaniem, że w mojej załodze ukrywa się zabójca. Jeśli Jej
Królewska Mość dowie się o opóźnieniu, błagam o uśmierzenie
wszelkich Jej obaw o powodzenie wyprawy i zapewnienie, że
podniesiemy żagle, gdy tylko Opatrzność pozwoli. Przekazuję
list szybkiemu kurierowi i czekam na dobrą radę.*

*Pozostaję zawsze do Twych usług, Wielce Szanowny Panie.
Francis Drake*

1

- O, tam! Czyż nie jest to widok, Bruno, który przyśpiesza bieg krwi w żyłach? Czy nie sprawia, że rozpiera cię radość życia?

Sir Philip Sidney lekko się podnosi, gdy z dumą wskazuje rzekę, i mały prom skręca, wzbijając fontannę wody. Przewoźnik głośno klnie i macha wiosłem, żeby wrócić na kurs. Trzymam się ławki i patrzę przez rzadką mgłę na obiekt zachwyty mojego przyjaciela. Galeon jest wielki jak dom, trzy wysokie maszty wznoszą się na tle porannego nieba, drzewca i liny tną blade chmury na fragmenty w kształcie różnorodnych figur geometrycznych.

- Łódź robi wrażenie - przyznaję.

- Nie mów „łódź”, jeśli wolałbyś nie ujawniać swojej ignorancji. - Sidney siada z łoskotem i prom znów się niepokojąco kołysze. - To okręt. Czy chcesz, żeby Francis Drake pomyślał, że wiemy o sztuce żeglarskiej nie więcej niż dwie dziewczyny? Możesz wysadzić nas tam, przy schodach - dodaje do przewoźnika. - Weź sakwojaże i zostaw na kei jak najbliższej okrętu, zacny człowieku. - Potrząsa sakiewką na znak, że starania przewoźnika zostaną nagrodzone.

Podpływamy bliżej i z mgły wyłania się nabrzeże Woolwich. Dostrzegam krzątanie wokół wielkiego okrętu: ludzie toczą beczki, podnoszą olbrzymie toboły zapakowane w zaimpregnowany materiał, zwijają liny, ciągną ręczne wózki i wyszczekują rozkazy, które niosą się nad Tamizą wraz z krzykiem mew krążących wokół topów masztów.

- Będę całkiem zadowolony, gdy sir Drake się dowie, że nie umiem odróżnić jednego końca okrętu od drugiego - mówię, zbierając siły, gdy prom uderza o stopnie nabrzeża. - Przyznanie się do niewiedzy świadczy o mądrości człowieka. Poza tym jakie to ma znaczenie? On raczej nie oczekuje, że dołączymy do jego brygady.

Sidney odrywa spojrzenie od galeonu i piorunuje mnie wzrokiem.

- Do załogi, Bruno. Poza tym mało wiesz. Drake słynie z tego, że każe swoim oficerom dzielić trudy żeglarskiego zajęcia z marynarzami. Nikt według niego nie jest tak wielkim panem, żeby wymigać się od zwijania lin albo szorowania pokładu, bez względu na tytuły. Taki ma styl dowodzenia. Mówią, że kiedy opłynął świat...

- Wszak nie jesteśmy jego oficerami, Philipie. Tylko składamy wizytę.

Po dłuższej chwili wybucha śmiechem i klepie mnie po ramieniu.

- Oczywiście! Nedorzeczna sugestia.

- Rozumiem, że chcesz wyrzucić na nim wrażenie...

- Wyrzucić wrażenie na nim? Ha! - Sidney wstaje i skacze z promu na schody, podczas gdy przewoźnik trzyma wbity w ścianę żelazny pierścień, by łódź się zanadto nie rozkołysała. Stopnie są śliskie od zielonych porostów i Sidney z trudem zachowuje równowagę, ale zaraz prostuje się i odwraca z błyskiem w oczach. - Posłuchaj: Francis Drake może wyprosił dla siebie u królowej tytuł szlachecki, ale nie przestał być synem wieśniaka. Natomiast moja matka jest córką księcia. - Dźga się kciukiem w pierś. - Moja siostra została hrabiną Pembroke, a mój wuj to hrabia Leicester, ulubieniec królowej Anglii. Powiedz mi, dlaczego miałoby mi zależeć, żeby zrobić wrażenie na Drake'u?

Ponieważ, mój przyjacielu, jest człowiekiem, jakim w skrytości ducha chciałbyś sam być, myślę sobie, chociaż tylko się uśmiecham i nic nie mówię. Niedawno na dworze, w sali pełnej arystokratów, Sidney nie okazał należytego szacunku pewnemu starszemu parowi, który w odpowiedzi nazwał go szczeniędem królowej. Teraz Sidney ma wrażenie, że gdy chodzi po galerii albo po pałacowych

ogrodach, słyszy za sobą szydercze ujadania i gwizdy. Chciałby zasłynąć jako awanturnik, nie piesek salonowy Elżbiety. Niemal mu współczuję. Od początku lata, kiedy królowa postanowiła wysłać angielskie wojska, by wesprzeć protestantów walczących z Hiszpanami w Niderlandach, z trudem hamował podniecenie na myśl o wyruszeniu na wojnę. Armią dowodzi jego wuj, hrabia Leicester, i miał powody wierzyć, że obejmie komendę nad garnizonem we Flushing. Królowa interweniowała, obawiając się stracić dwóch faworytów jednocześnie. Na początku sierpnia wycofała ofertę i mianowała dowódcą Flushing kogoś innego, żeby Sidney został na dworze, w zasięgu jej wzroku. Błagał ją, żeby wzięła pod rozwagę jego honor, ale wyśmiała te usilne prośby, jakby je uważała za niedorzeczne, a jego samego za dziecko, które chce się bawić w żołnierza ze starszymi chłopakami. Jego duma ucierpiała. Ma trzydzieści lat i czuje, że umykają mu najlepsze lata, podczas gdy on jest zmuszany przez kaprys królowej do życia w kobiecym świecie gobelinów i aksamitnych poduszek. Wysłała go jako emisariusza do Plymouth; oczywiście to nie to samo co dowodzenie garnizonem, ale nawet ta krótka ucieczka z dworu i perspektywa wolności przyprawia go o zawrót głowy.

Jestem mniej entuzjastycznie nastawiony do tej eskapady, choć ze względu na niego staram się to ukrywać. Myślę sobie, że skakanie z promu na schody nabrzeża jak na mój gust za bardzo grozi zimną kąpielą, a w chwilę potem tracę równowagę i wymachując rękami, chwytam linę. Moje buty ślizgają się na każdym stopniu i staram się nie patrzeć w dół na szlamowatą, brunatną wodę. Pływam dość dobrze, ale kiedyś przez przypadek wpadłem do Tamizy – jej smród mógłby zabić człowieka przed dopłynięciem do brzegu i lepiej nie zastanawiać się nad tym, co pływa pod powierzchnią.

Przystaję na szczycie schodów, gdy nasz przewoźnik cumuje prom i wychodzi po stopniach z naszymi sakwami podróżnymi. W większości są to bagaże Sidneya, ściślej mówiąc. Ja zabrałem tylko jeden sakwojaż z kilkoma zmianami bielizny i materiałami piśmiennymi. Zapewnił mnie, że wycieczka potrwa nie dłużej niż dwa tygodnie, najwyżej trzy: popłyniemy galeonem wzdłuż połu-

dniowych wybrzeży Anglii do zatoki Plymouth, gdzie galeon dołączy do floty sir Francis Drake'a, i wrócimy stamtąd do Londynu. A jednak sam spakował się jak na podróż dokoła świata, słudzy podążają za nami na drugim promie z resztą jego rzeczy. Nie wspomina o tym, tylko przymrużam oczy, patrząc, jak mój przyjaciel radosnym okrzykiem wita członka załogi i wciąga go w rozmowę. Marynarz wskazuje na okręt. Sidney gorliwie kiwa głową, krzyżując ręce na piersi. Coś kombinuje? – pytam sam siebie w duchu. Od kilku tygodni dziwnie się zachowywał, od czasu poróżnienia się z królową, i dobrze wiem, że nie cierpi, gdy ktoś zrani jego dumę. Na razie jednak nie mam innego wyboru, muszę podążać za nim.

– Chodź, Bruno! – woła, władczy jak zawsze, machając wykończonym koronką rękawem w stronę trapu. Powstrzymuję się od uśmiechu. Sidney myśli, że ubrał się odpowiednio na podróż; zniknęły typowe dla niego bufiaste rękawy i pantalone, jak również wataowany kaftan, który sprawia, że wszyscy modni Anglicy wyglądają, jakby się spodziewali dziecka. Kurtka, którą wybrał, wcale nie jest bardziej odpowiednia, uszyta z jedwabiu o barwie kości słoniowej, haftowana w delikatny złoty wzór z naszytymi perełkami. Kreza, choć nie tak ekstrawagancko szeroka jak zwykle, jest wykrochmalona i nieskazitelnie biała, a na głowie ma czarny aksamitny kapelusz z wysadzaną klejnotami broszą i pawim piórem, które tańczy na wietrze i często więźnie w złotych kolczykach. Zakładam się sam z sobą, jak długo pióro wytrzyma w tej morskiej bryzie.

Po trapie schodzi dzentelmen w stroju odróżniającym go od ludzi pracujących na nabrzeżu. Unosi rękę w powitalnym geście. Jest mniej więcej w wieku Sidneya, ma wysokie czoło, zaczesane do tyłu rudawe włosy oraz imponującą brodę, która wygląda na świeżo ułożoną przez balwierza. Staje na nabrzeżu i lekko się kłania Sidneyowi. Kiedy z uśmiechem unosi głowę, w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki, przez co wygląda bardziej ujmująco.

- Witamy na galeonie *Leicester*. – Szeroko rozkłada ramiona.
- Miło cię widzieć, kuzynie. – Sidney z wielkim entuzjazmem obejmuje go i poklepuje po plecach. – Jesteśmy gotowi?
- Właśnie załadowuję ostatnią partię amunicji. – Wskazuje za

siebie na grupę marynarzy, którzy wciągają na pokład drewniane skrzynie, używając do tego mnóstwa lin, bloczków i wrzasku. Odwraca się w moją stronę i obrzuca mnie krótkim szacującym spojrzeniem. – Z pewnością jesteś tym Włochem, panie. Sława cię wyprzedza.

W przeciwieństwie do większości Anglików, kiedy spotykają cudzoziemców, szczególnie tych z katolickiej Europy, nie krzywi ust, co od razu budzi we mnie sympatię. Może człowiek, który opłynął pół świata, ma bardziej przychylne spojrzenie na inne nacje. Zastanawiam się, jaka to sława mnie wyprzedza. Jestem znany z niejednego powodu.

– Giordano Bruno z Noli, do usług, panie. – Kłaniam się nisko, żeby okazać szacunek należny szlachetnie urodzonemu.

Sidney kładzie rękę na ramieniu mężczyzny i zwraca się do mnie:

– Oto sir Francis Knollys, szwagier mojego wuja, hrabiego Leicester, i kapitan tego okrętu podczas naszej podróży.

– Jestem zaszczycony, panie. Wielce uprzejmie z twojej strony, że raczysz nas przyjąć na pokład.

Knollys szczerzy zęby w uśmiechu.

– Wiem, wiem. Już przykazałem Philipowi, żeby nikomu nie wchodził w drogę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję na moim okręcie, jest dwóch poetów płaczących się pod nogami i rzygających jak koty przy najmniejszej fali. – Zezuje w kierunku nieba. – Miałem nadzieję wyruszyć o brzasku. Wiatr sprzyja, może nadrobimy trochę czasu, kiedy wypłyniemy na Morze Angielskie. Umiesz chodzić po rozkołysanym pokładzie, mistrzu Bruno, czy przez całą drogę do Plymouth będziesz, panie, trzymać głowę w cebrze?

– Mam żołądek z żelaza. – Uśmiecham się, mówiąc te słowa, więc chyba wie, że nie muszą być do końca prawdziwe. Nie umknęło mi lekceważenie zawarte w słowie „poeci”, Sidneyowi też nie. Nie przywiązuje do tego większej wagi, ale wolałbym nie przynieść sobie wstydu przed tym arystokratycznym żeglarzem. W jego oczach rzyganie do kubła jest najpewniejszym sposobem zakwestionowania czyjejs męskości.

- Miło to słyszeć. - Z aprobatą kiwa głową. - Każę przynieść wasze sakwojaże. Chodźcie obejrzeć kwaterę. Niestety, nie jest zbyt-
kownie urządzona, nieodpowiednia dla kwatermistrza, ale będzie
musiała wystarczyć. - Szyderczo kłania się Sidneyowi.

- Możesz sobie pokpiwać, kuzynie, ale kiedy wypłyniemy na
hiszpańskie wody w południowej części Morza Karaibskiego, mając
przed sobą garnizony potężnego króla Filipa, będziesz rad, że ktoś
kompetentny zawracał sobie głowę załatwianiem amunicji i innego
ekwipunku - powiada Sidney wyniośle.

- Ktoś kompetentny? A kto taki? - Knollys śmieje się ze swojego
żartu. - I co poza tym oznacza ta liczba mnoga?

- Co?

- Sam powiedziałeś, „kiedy wypłyniemy na hiszpańskie wody”.
Przecież ty i twój przyjaciel płyniecie tylko do Plymouth?

Sidney zasysa policzki.

- My, czyli Anglicy. To wyraz solidarności, kuzynie.

Zauważam, że niezupełnie patrzy w oczy rozmówcy. Przyglą-
dam się twarzy przyjaciela i w jakimś zakamarku mojego umysłu
rodzi się podejrzenie.

Knollys prowadzi nas po trapie na pokład *Leicestera*. Załoga ob-
raca głowy i wlepia w nas oczy, gdy przechodzimy, choć ręce nie
przerywają pracy. Zastanawiam się, za kogo nas mają. Wysoki, smu-
kły, bogato odziany Sidney o chłopięcej twarzy, pomimo niedawno
wyhodowanej brody, chłonie wzrokiem nowe otoczenie - wygląda
dokładnie na tego, kim jest, na arystokratę z upodobaniem do przy-
gody. Mnie w czarnym stroju być może biorą za księdza.

Wchodzimy za Knollysem przez drzwi pod kasztelem rufowym
do wąskiej kajuty, ledwie mogącej pomieścić nas trzech, z piętrową
koją pod grodzią. Wnętrze, jak można się było spodziewać, cuch-
nie wilgocią, solą, rybami, wodorostami. Jeśli Sidneya zniechęca
ta marna kwatera, to jednak tego nie okazuje. Unosi się z zachwy-
tu nad wąskimi łózkami, więc siłę się na stoicyzm, chociaż zaci-
skam pięści za plecami i zmuszam się do powolnego oddychania.
W dzieciństwie poznałem grozę ciasnych zamkniętych przestrzeni
i przebywanie tutaj wydaje mi się okrutną karą. Obiecuję sobie, że

podczas podróży będę jak najwięcej czasu spędzać na pokładzie, patrząc w niebo i na szeroką wodę.

- Czujcie się jak w domu – mówi wesoło Knollys, machając ręką, zadowolony z przewagi, jaką doświadczenie zapewnia mu nad bardziej wytwornym powinowatym. – Mam nadzieję, że zabraliście z sobą grube peleryny, bo wiatr na morzu będzie silny, mimo że panuje lato. Zostawię was, żebyście się mogli rozgościć. Zostało jeszcze wiele do zrobienia przed podniesieniem kotwicy. Przyjdźcie na pokład, kiedy będziecie gotowi. I pożegnajcie się z Londynem.

- Zajmuję dolną koję – oznajmia Sidney po wyjściu Knollysa, rzucając kapelusz na poduszkę. – Krótszy lot w dół, jeśli morze będzie wzburzone.

Opieram się o framugę.

- Dziękuję. I lepiej powiadom kuzyna, że będziemy potrzebować drugiej kajuty na twoje ubrania.

Sidney pada na koję i próbuje wyprostować długie nogi. Nie mieszczą się i leży jak rodząca, ze zgiętymi kolanami.

- Wiesz, Bruno, pewnego dnia nauczysz się okazywać mi szacunek należny z racji urodzenia. Oczywiście, sam temu jestem winien – mówi, zmieniając pozycję i rzucając kapelusz na podłogę. – Sam wyhodowałem tę bezczelność, traktując cię jak równego sobie. Będę musiał położyć temu kres. Na litość boską, jak mam na tym spać?! Nawet nie mogę położyć się na wznak. Czy to wyro zostało sklecone dla karła? Przypuszczam, że ty nie będziesz miał takich problemów. Na rany Chrystusa, w więzieniu Fleet mają lepsze warunki!

Podnoszę jego kapelusz i nasuwam go zawadiacko na ucho.

- Czego się spodziewałeś, piernatów i jedwabnej pościeli? To ty chciałeś się bawić w awanturnika.

Siada, nagle poważny.

- Nie bawimy się, Bruno. Jestem mianowanym kwatermistrzem Jej Królewskiej Mości. Nie, wcale nie żartuję. Poczekaj, a się przekonasz, jeszcze mi za to podziękujesz. Co innego byś robił tego lata poza dumaniem nad swoją niepewną sytuacją? W ten sposób przynajmniej będziesz miał jakieś zajęcie.

- Moja sytuacja, jak to ujmujesz, wcale się nie zmienia, kiedy wrócę. Jeśli nie znajdę jakiegoś sposobu, żeby pozostać w Anglii niezależnie od francuskiej ambasady, we wrześniu będę zmuszony wrócić z ambasadorem do Paryża. Trudno nad tym nie rozmyślać.

Staram się nie okazać urazy, ale jego lekki ton mnie irytuje, kiedy mówi o mojej przyszłości i może o moim życiu.

Macha ręką.

- Za dużo się martwisz. Nowy ambasador... Jak on się nazywa... Châteauneuf? Tak naprawdę nie może cię wyrzucić na ulicę, prawda? Nie wtedy, gdy król Francji jest za tym, żebyś mieszkał w ambasadzie. Tylko próbuje cię zastraszyć.

- Z powodzeniem. - Splotłem ramiona na piersi. - Król Henryk od miesięcy nie płaci mi stypendium... Ma zbyt wiele zmartwień na swoim dworze, żeby zawracać sobie głowę jednym wypędzonym filozofem. Poprzedni ambasador sam je wypłacał ze szkatuły ambasady. Wystarczało mi to, co od niego dostawałem i co zarabiałem u... - Urywam, wymieniamy znaczące spojrzenie. - I to jest kolejny problem - mówię ściszym głosem. - Châteauneuf oskarżył mnie o szpiegowanie dla Tajnej Rady.

- Na jakiej podstawie?

- Nie ma dowodów, ale podejrzewają, że ktoś przejmuje tajną korespondencję ambasady. Ponieważ jestem tutaj jedynym znanym wrogiem Kościoła katolickiego, ambasador wyciągnął własne wnioski.

- Ha. - Podciąga kolana. - W takim razie nie są tacy głupi, jak może się wydawać. Ale w przyszłości będziesz musiał uważać.

- Obawiam się, że nie będę mógł dalej pracować dla Walsinghama, to prawie niemożliwe. Poprzedni ambasador miał do mnie zaufanie. Châteauneuf zdecydowanie mi nie ufa i będzie obserwować mój każdy ruch. Jest najbardziej dogmatycznym katolikiem z rodzaju tych, którzy myślą, że tolerancja stanowi najwyższą obrazę. Nie będzie gościł pod swoim dachem kogoś takiego jak ja. Tak brzmiały jego słowa.

Sidney się uśmiecha.

- Suspendowanego zakonnika, ekskomunikowanego za here-

zję. Tak, rozumiem, że postrzega cię jako niebezpiecznego wicherzyciela. Ale myślałem, że zależało ci na powrocie do Paryża? – rzucił mi zawołaną aluzję.

– Zeszłej jesieni napisałem do króla z pytaniem, czy mogę na krótko powrócić. Odpowiedział, że obecnie nie może mnie przyjąć na dworze, gdyż to tylko zantagonizowałoby Ligę Katolicką. Poza tym... – opieram się o ścianę i krzyżuję ręce na piersi – mojej miłości już dawno tam nie ma. O ile w ogóle kiedykolwiek była.

Powoli kiwa głową. Rozumie, co to znaczy kochać kobietę, której nie można mieć. Nic więcej nie trzeba dodawać.

– Może przestań to rozpamiętywać. Znam remedium na twoje kłopoty. – Błysk w jego oku nie budzi specjalnego zaufania. Sidney ma dobre zamiary, ale jest impulsywny, a jego pomysły rzadko bywają praktyczne; mimo to nie mogę zdusić iskierki nadziei. Może chce wstawić się za mną u swojego teścia, Walsinghama, albo nawet u królowej. Tylko jakieś stanowisko dworskie pozwoliłoby mi się utrzymać na wygnaniu. Królowa nie może ogłosić tego publicznie, ale wiem, że Walsingham jej powiedział, że przez dwa lata narażałem życie w jej służbie. Z pewnością zrozumie, że będąc oskarżony o herezję przez inkwizycję, nie będę mógł żyć ani pisać w żadnym kraju katolickim.

– Pomówisz z królową?

– Poczekamy, zobaczymy. – To wszystko, co mówi w odpowiedzi, z tajemniczym mrugnięciem, które, jak wie, doprowadza mnie do furii.

Sidney został kwatermistrzem na początku wiosny – była to nominacja polityczna, kaprys królowej bez odzwierciedlenia w jego uzdolnieniach natury militarnej czy żeglarskiej, które jak na razie istnieją głównie w jego głowie. Przez całe lato nadzorował dostawy amunicji i armat na okręty Francisa Drake’a przed jego przyszłą wyprawą. Kiedy królowa otrzymała wiadomość, że do Anglii żeglują Dom Antonio, pretendent do tronu portugalskiego, z zamiarem zawinięcia do Plymouth, Sidney skwapliwie skorzystał z okazji, żeby na własne oczy zobaczyć flotę Drake’a: zgłosił się na ochotnika, żeby powitać przybysza i towarzyszyć mu w drodze do Londynu.

Wedle planu wyruszymy na pokładzie galeonu *Leicester* do Plymouth, gdzie zbierają się już inne okręty, tam spędzimy kilka dni wśród żeglarzy i kupców awanturników, czekając na Portugalczyka i jego świtę – dzięki temu Sidney będzie mógł się popisywać, mówiąc o armatach i nawigacji, generalnie sprawiając wrażenie, że jest kimś ważnym – a następnie pod koniec miesiąca, kiedy dwór wróci do miasta po lecie spędzonym na wsi, pojedziemy drogą lądową do Londynu z królewskim gościem. Jestem wdzięczny za tę odmianę, ale nie mogę przestać rozmyślać nad tym, co wyniknie po naszym powrocie. Jeśli Sidney coś wymyśli, żebym mógł zostać w Londynie, będę jego dozgonnym dłużnikiem.



Kiedy Knollys wzywa nas na pokład, nad horyzontem widać prawie całe słońce, zamglone przez cienką gazę białej chmury. Z przelotnym ukłuciem nostalgii myślę o sycylijskiej cytrynie w muslinowym woreczku.

– Bóg da, a będziemy mieć dzisiaj ładną pogodę – mówi, patrząc w niebo. – Choć nie zaszkodziłoby pomodlić się o trochę więcej wiatru.

– Prosisz niewłaściwego człowieka – odpowiada Sidney, trącając mnie łokciem. – Bruno się nie modli.

Knollys patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Zaczekaj, aż wyjdziemy w morze. Wtedy zacznie się modlić. Żarliwie.

Oficerowie wykrzykują rozkazy, marynarze rzucają cumy, ciągną liny. Z góry dochodzi skrzypienie drewna i łopot płótna, gdy żagle chwytają wiatr i wydymają się jak miechy. Po raz pierwszy od wejścia na pokład jestem naprawdę świadom, że porusza się on pod moimi nogami: łagodny ruch do przodu i do tyłu, gdy *Leicester* odbija od nabrzeża. Dzieciaki, które zarabiają pensy za pomoc przy załadunku i bieganie na posyłki, wznoszą radosne okrzyki i machają rękami na pożegnanie, co sił w nogach pędząc wzdłuż nabrzeża. Knollys ze śmiechem kiwa do nich ręką, Sidney i ja robimy to samo. Słońce wychodzi zza chmur i nagle snop światła złoci brązowe oku-

cia i ogrzewa drewno. Na wodzie przed nami skrzą się setki tysięcy punkcików światła i myślę, że może jednak ta podróż sprawi mi przyjemność. Ale każdy krok mi przypomina, że to, co mam pod stopami, już nie jest solidne.

- Na razie możecie robić, co chcecie - mówi Knollys - byleście nikomu nie wchodzili w drogę.

- Jestem gotów zakasać rękawy, kuzynie. Wystarczy, że powiesz, czym powinienem się zająć. Słyszałem, jak Drake lubi kierować swoimi załogami. Nie jesteśmy tutaj po to, żeby siedzieć w słońcu, sączyć francuskie wino i patrzeć, jak ucziwi ludzie harują. - Sidney błyska promiennym uśmiechem i szeroko rozkłada ręce, jakby mówiąc: Oto jestem.

Patrzę na niego zatrwożony, bo o czymś takim nie było wzmianki w zaproszeniu. Zerkam na czubek grotmasztu, gdzie nad bocianim gniazdem powiewa porporzec ze złotym herbem. Mam nadzieję, że nie zgłosił nas na ochotnika do polerowania takielunku i szorowania pokładów.

Knollys mierzy go wzrokiem od stóp do głów, patrząc na jedwabny kaftan Sidneya, koronkowe mankiety i biżuterię. Uśmiecha się, ale cierpko.

- No tak... wino jest ściśle racjonowane. Przyznam ci się, Philipie, jestem zaskoczony, że w tych okolicznościach Jej Królewska Mość pozwoliła ci na tak długi czas opuścić dwór.

Sidney odwraca wzrok.

- Ktoś musi sprowadzić Dom Antonia do Londynu. Gdyby wybrał się w tę podróż na własną rękę, nie dotarłby tam w jednym kawalku. Wiesz, że Filip Hiszpański wyznaczył cenę za jego głowę.

- Mimo wszystko to dziwne, że królowa wierzy w twój rychły powrót do niej, zważywszy na to, że poróżniliście się. - Knollys się śmieje, oczekując, że Sidney mu zawtóruje.

Zalega cisza, która z każdą chwilą staje się coraz bardziej nieprzyjemna. Sidney w głębokim skupieniu wpatruje się w linię horyzontu.

- Powiedz mi, panie - proszę, żeby przerwać milczenie - jaki jest Francis Drake?